Nr. 230. [240]

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 29. Sierpnia 1897.

Nowa Kalifornia.

Lwów d. 28. sierpnia.

„Nowa Kalifornia w Ameryce nie jest więc legendą. Tyle już razy łudził nas humbug yankesów wieściami o świeżo odkrytych kopalniach złota, że gdy nareszcie złoto pojawiło się istotnie, nikt temu zrazu uwierzyć nie chciał. Stara bajeczka o wilku! Jasio lubił wołać, że wilk idzie, chociaż wilka nie było. Więc gdy razu pewnego wilk naprawdę wyskoczył z gęstwiny, nikt na Jasia okrzyki nie zważał... ale ta nieufność do yankesów bardzo była na rękę pierwszym kopaczom złota, bo konkurencya rozwijała się powoli i dopiero po trzech latach, gdy kanadyjskie ministeryum spraw wewnętrznych potwierdziło wieści kursujące po kraju, rozpoczęły się prawdziwe wędrówki ludów nad wybrzeża Yukonu, do mroźnej i ubogiej w roślinność, lecz bogatej w złoto Alaski. Dziś jeszcze żył drogiego kruszcu nie trzeba szukać mozolnie i ze skał wydobywać przy pomocy wielkiego aparatu techniki, dziś kopalnie złota znajdują się jeszcze w pierwszej, najprzystępniejszej dla wszystkich fazie rozwoju. Metal w bryłach i ziarnach spoczywa pod samą powierzchnią ziemi i w piasku strumieni, lecz te pierwsze bogactwa już się wyczerpują i niebawem trzeba będzie wziąć się do maszyn, młotów i oskardów, aby zdobyć kruszec spoczywający w głębinach gór w twardym łonie skał, tam gdzie siły jednostki sprostać nie mogą zadaniu. Ta druga faza kopalni to już nie teren dla awanturników, dla przedsiębiorców „na własną rękę" dla „myśliwych szczęścia," lecz arena wielkich towarzystw akcyjnych, robót inżynierskich, wysiłków zbiorowych, umiejętnie zorganizowanych.

Dziś jednak dzieje się nad Yukonem to, co działo się w pierwszych okresach kalifornijskiej gorączki złota. Ludzie biorą strzelbę, drąg i łopatę, zaopatrują się w żywność i ruszają w świat, by macać za kruszcem, który może spoczywa tuż pod stopami. Tylko szczęście, raz jeden sięgnąć łopatą do głębi, kto wie... miliony się uśmiechają. Pewien młody górnik z Indianopolis znalazł bryłę złota wartości 5.000 funtów sterlingów, a w ciągu 4 miesięcy zdobył drogocennego metalu za 100.000 funtów. Nie wszystkim jednak los sprzyja. Inni sterali siły swoje w walce z okrucieństwem przyrody i zyskali zaledwie tyle, by wrócić do domu z przykrem uczuciem zawodu. Pisma amerykańskie opowiadają o pewnym kopaczu, który wyszedł nad Yukon w pełni sił i zdrowia, a po czterech latach ciężkiej pracy umarł jako kaleka w szpitalu. W tłomoczku jego znaleziono złotego piasku wartości 3.000 dolarów. Taki był rezultat kilkoletniej „walki o milion."

Poszukiwanie złota w Alaszce połączone jest z tak niesłychanemi trudnościami, że wobec tych ogromnych mozołów dawne wyprawy do Kalifornii wydają się zabawką. Nie ulega kwestyi, że kopalnie Alaszki są bogatsze od kalifornijskich, ale komunikacya, klimat i warunki życia są tam poprostu męczarnią, są bezustanną walką z głodem, mrozem i z czyhającą na łupy grabieżą. Wprawdzie rząd kanadyjski stara się usilnie o to, dogodnienie podróży na daleką północ, o dostarczanie jakich takich środków do życia kopaczom, o zapobieganie mordom i rozbojom, ale wszelkie usiłowania dotychczas skromne tylko wydały owoce. Ów młody górnik, który jak wyżej wspomniałem, powrócił milionerem z Alaszki, opowiada, że w ciągu trzechletniego pobytu nad brzegami Yukonu widział 2 000 mogił pomarłych z głodu i zimna kopaczów. Inni spotykali w drodze zmarznięte, śniegiem zasypane karawany, innych dosięgła kula lub sztylet mordercy, gdy obarczeni złotem wracali do domu. Rząd kanadyjski ogłosił niedawno ostrzeżenie przed grozą Alaszki. Podróż ze Stanów Zjednoczonych do krainy złota trwa co najmniej 6 tygodni, a dla braku komunikacyi kolejowej, dzikości i martwoty przyrody, dla strasznych mrozów jest prawdziwym szlakiem śmierci. Zresztą zapasy żywności, zgromadzone na miejscu, tak się wyczerpały, że w zimie grozi straszna klęska głodowa. Już dziś za funt mąki kosztuje 3 dolary (około 9 zł.). Mimo to wędrówki do Klondyke nie ustają ani na chwilę. Gorączka złota w szał się zmieniła i ludność amerykańska pędzi na oślep do nowej Kalifornii. Zginie to zginie! Byle iść, byle stanąć na ziemi milionów, byle raz jeden zajrzeć szczęściu w oczy. Demon hazardu tak kusi, że nie ma hamulca dla opętanych. Niektóre miasteczka amerykańskie zupełnie opustoszały. Ludność cała poszła do Alaszki.

Może zainteresują czytelników naszych dzieje tej ziemi, która dzisiaj otworzyła ludziom złotodajne łono, lecz drogę do szczęścia wysłała mogiłami. Półwysep Alaszki stanowił do niedawna własność rosyjską. Gdy wojna krymska wybuchła, ofiarowała Rosya Stanom Zjednoczonym kupno tego półwyspu, którego objętość wynosiła 1½ miliona kilometrów kwadratowych, ale z inicyatywy ówczesnego prezydenta propozycyę tę odrzucono. W r. 1867 po raz drugi wznowiono układy. Stany Zjednoczone lękać się poczęły, by Alaszki nie kupiła Anglia, która już przedtem opanowała cały handel futrami na mroźnym półwyspie. Tym razem targ o Alaszkę przyszedł do skutku i Stany Zjednoczone nabyły złotodajną ziemię, której bogactw nikt nie przeczuwał, za śmiesznie małą sumę 7,200.000 dolarów. A dziś?

Dziś sama dzierżawa roczna maleńkich wysp foczych przynosi dolarów 300.000, a jedyna kopalnia Treadwell dostarczyła dotychczas złota za 14,000.000 dolarów, cała zaś produkcyę obliczają na 15—20 milionów rocznie.

Zważyć nadto wypada, że najbogatsza część kopalni zwana „Czarnym lochem Kalkuty" dotychczas jest niewyzyskaną. Kilka prób w małych rozmiarach wydało zdumiewające rezultaty i wkrótce będziemy może świadkami takich zdobyczy, jakimi się Kalifornia w najświetniejszym okresie rozkwitu poszczycić nie mogła.

Yankesi tedy zrobili doskonały interes. Prawdziwe amerykańskie szczęście.

Z Poznańskiego

W jesieni roku zeszłego zawiązało się pod dyrekcyą pp. Skirmunta i Majdrowicza, byłych członków teatru poznańskiego, towarzystwo dramatyczne, zwane powszechnie prowincyonalnym teatrem polskim. Koncesya rządowa była na imię Skirmunta, który nie jest poddanym pruskim. Od czasu swego zawiązania dawał ten teatr prowincyonalny przedstawienia po miastach i miasteczkach Prus Zachodnich i Poznańskiego, zyskując wszędzie zasłużone pochwały tak co do strony artystycznej, jak co do wyboru sztuk i skrzętnej a taktownej administracyi. Gdy przeciętnie sezon zimowy skończył się dla stałego teatru poznańskiego i szukać mu było trzeba po za tem miastem pracy i chleba, napotykano trudności. Poznański teatr nie uzyskał rozszerzenia koncesyi na Berlin, choć tam już najęto odpowiedni lokal, teatrowi prowincyonalnemu zaś odmówił prezydent regencyi kwidzyńskiej pozwolenia na Prusy Zachodnie. Teatr poznański ratował się przeniesieniem do Warszawy, prowincyonalny wędrował z miasta do miasta w Poznańskiem, a gdy już bardzo bieda doskwierała, grywał w guberni kaliskiej. [illegible]

[illegible] lu milionów dochodząca, lecz to naszej biedy nie zmniejszy.

Na Górnym Śląsku pojawiają się choroby, to biegunka, całe okolice dotykająca, to tyfus, jak w mieście Bytomiu i okolicy. Dla tej zarazy trzeba było zaniechać kursów socyologicznych, które ze strony katolickiej (dla duchowieństwa szczególniej) w mieście Bytomiu w tych dniach odbyć się miały. Chciano je przenieść do Gliwic, to znów do Katowic, ale i to spełzło na niczem. Niektórzy jednak twierdzą, że gorszą od tyfusu przeszkodą stała się pogłoska, iż między prelegentami obawiano się jednego ze sławnych, jako mowcy, Jezuitów niemieckich, a na tych ciąży zawsze jeszcze banicya niemiecka.

W niesłychanej dawniejszemi laty mierze mnożą się tu zatargi rodziców z nauczycielami ludowymi. Nauczycielom położono za główne i prawie jedyne zadanie niemczenie dzieci polskich. Język polski wykluczono ze szkoły ludowej zupełnie. Dla ograniczenia się wyłącznego na języku niemieckim nasłano w okolice polskie nauczycieli młodych z prowincyj niemieckich, którzy słowa po polsku nie umieją. Zasługi nauczyciela ocenia się według postępów dzieci w języku niemieckim. Ta tresura ciężkim jest dla nich zadaniem, dla dzieci torturą. A więc sypią się kary, padają razy, u dzieci płacz i skarga w domu, często choroba dzieci i doprowadzenie do rozpaczliwej pasyi ojców i matek, mniej nad sobą zapanować mogących.

Bywają więc najścia szkoły i mieszkania nauczycieli przez ojców i matki, z tego kłótnie, obraza słowna i czynna, a teraz wydarza się już, że wprost na drodze nauczyciel od rodziców w skórę dostaje. Oczywiście, że w następstwie bywają procesy karne i kończy się uwięzieniem na tygodnie lub dłuższe nawet miesiące tak ojców jak i matek. Często rodzice, co rozsądniejsi, skarżą nauczycieli o nadużycie prawa chłosty cielesnej, choć przepisy szkolne szerokie tu pozostawiają nauczycielowi pole. Zapadają przecież i na nauczycieli wyroki z dotkliwą pieniężną lub więzienną karą. Bywają nadto wypadki szkaradą swoją oburzające. Zdarza się nie rzadko, że nauczyciele nastają na niewinność dziewczynek szkolnych i za to zasądzani bywają na surowe kary. Obłęd ten, a raczej rozbestwienie, wydarza się coraz częściej po kraju i co chwila czyta się doniesienie o takiej zbrodni to z tej, to z owej okolicy. Często są sprawcami ludzie w wieku, jak świeżo w Toruniu był takim kupiec milionowy, człowiek lat 65, który z obawy kary otruł się podczas ucieczki. Dziś czytam o żołnierzu i pięcioletniem dziewczątku, które trzeba było coprędzej oddać w ręce lekarskie.

Znamienne zdaje mi się być i to, że w ostatnich tygodniach poszukiwano przez gazety bardzo wielu osób, które w niewytłómaczony sposób zniknęły gdzieś bez śladu, szukają żony mężów, rodzice dzieci, dzieci rodziców starych. Raz po raz znajdują gdzieś trupa, o którym niewiadomo, czy zginął przypadkiem, samobójczo, lub czy go też zamordowano. Co tego przyczyną, że teraz właśnie wypadki takie bywają liczniejsze, daremnie łamię sobie głowę i innych pytam o zdanie. Być może, iż ludność, która dawniejszą swoją zasiedziałość w miejscu rodzinnem porzuciła i wędrowną jakoś się staje, nawyka do łazęgowstwa i niejako ucieczki, a zapomina swoich obowiązków, mało przytem dbając o szanowane dawniej związki rodzinne.

Wiadomy już wam proces prasowy dr. Skarzyńskiego, podobno o obrazę ministeryum w broszurze „Nasza sprawa", ma się rozstrzygnąć 30 b. m. w sądzie w Poznaniu. Ale i to bodaj czy pewne. Kanclerz ks. Hohenlohe wcale na świadka nie był zawezwany. Bawi on zresztą podobno w Werkach powitgensteinowskich.

Kroniczka warszawska.

Fala ludzi przepłynęła w tygodniu ubiegłym przez miesto nasze! Z „Baedeckerami" w ręku i bez tego nieodzownego, a co do Warszawy bardzo bałamutnego przewodnika, grupy złożone z kilku, czasami z kilkunastu osób uwijały się po ulicach, zatrzymując się przy pomnikach, znaczniejszych budowlach itp., lub też podążały kolejkami podmiejskimi w okolicę, do Czerniakowa, Wilanowa, Marek, Jabłonny. Twarze obce, obejście nienasze i zaciekawienie, malujące się na obliczach, wskazywały od razu, że ci ludzie nie należą do narodowości polskiej. Goście, podążający na kongres lekarski do Moskwy, przeważnie zatrzymywali się na dwa lub trzy dni w Warszawie i jak to sam mogłem skonstatować, zapoznawszy się z pewną grupą, nienajgorsze wynosili stąd wrażenia. Ruch, życie pulsujące na każdym kroku, wprowadzało doktorów zagranicznych w zdumienie i pod tym względem stawiali oni n. p. wyżej gród Syreni od Wiednia. Zważyć zaś się godzi, że przejazd cudzoziemców zdarzył się w miesiącu, kiedy kto mógł uciekł za mury miejskie, ażeby użyć wywczasu na letnich mieszkaniach. Trudno wymagać, ażeby chwalić mieli wszystko w czambuł, więc też nie zdziwiłem się wcale, gdy grupa balneologów, w których towarzystwo popadłem wypadkiem, oburzona była naszemi kąpielami wiślanemi.

Istotnie! czegoś równie prymitywnego nie łatwo chyba doszukać się w Europie, trzeba też wielkim być zwolennikiem orzeźwiania grzesznego ciała, ażeby ryzykować się na rozbieranie na ławkach brudnych, wycieranie mokremi i rzadko pranemi ręcznikami i kąpanie w towarzystwie wcale niedobranem. Gdy dodam, że chcąc się dostać nawet do takiej kąpieli, przebiedz potrzeba kilka wiorst wśród kurzu i spiekoty, to możecie powziąć wyobrażenie o przyjemnościach wszelkich na tym punkcie. Przytem używanie kąpieli w Wiśle nie jest zgoła tanie, a dla mas szerokich, dla szarego tłumu robotników, drobnych rękodzielników, pracowników fabrycznych prawie że niedostępne. Stąd idzie, że klasa ta żyje w brudzie ohydnym, który nadzwyczaj ujemnie wpływa na stosunki sanitarne. Może obecnie stan ten zmieni się na lepsze, jak bowiem obniosły wieść gazety, projekt kąpieli ludowych, projekt kołatający się od lat wielu, ostatecznie przychodzi do skutku. Gdzie stanie to nowe a tak nieodzowne urządzenie, nie wiem jeszcze, boję się wszakże, iż rozpoczęte małymi środkami zakłady kąpielowe nie wypełnią tak swojego zadania, jakby się godziło żądać. Warszawa zbyt dużem, zbyt rozległem jest miastem, ażeby można na jeden punkt sprowadzić wszystkich ludzi, żądnych kąpieli, chcąc tedy, ażeby ludek warszawski naprawdę zasmakował w tej hygienicznej przyjemności, potrzeba urządzić kąpiele w różnych dzielnicach miasta, niejeden będzie wolał wyrzec się wszystkiego, gdy mu przyjdzie pospieszyć np. z ulicy Mokotowskiej na Muranów, albo z Pelcowizny na Dziką lub Smoczą. Czują to inicyatorzy, cóż kiedy na przeszkodzie, jak zwykle staje brak potrzebnych ku temu celowi funduszów.

Ten sam brak odczuwać się tu już daje przy „Pogotowiu ratunkowem", instytucyi niezmiernie doniosłego znaczenia i będącej prawdziwym „Benjaminkiem" Warszawiaków. Wypadki zasłabnięć po ulicach są tak liczne, że co chwila rozlega się ponura trąbka zwiastująca, że lekarz w towarzystwie felczerów i służby wyćwiczonej podąża ratować nieszczęśliwych. Nie zawsze może jednak karetka nadbiedz w porę „Pogotowie" bowiem nie jest dotąd rozmieszczone w różnych punktach miasta, ale skoncentrowane na Ordynackiem. Gdyby instytucya posiadała odziały na wzór straży ogniowej, gdyby nawet w obecnych warunkach posiadała do dyspozycyi większą liczbę koni i karet, to wówczas spełnić by można w zupełności swoje zadanie. Na teraz zdarza się zbyt często, że chory zostaje na ulicy bez pomocy dla tych braków. Prasa nawołuje do skierowania ofiarności publicznej w tę stronę, jak dotąd jednak składki płyną dość leniwie.

Napomknąłem o przejeździe lekarzy zagranicznych przez Warszawę do Moskwy, więc równocześnie wyrażę zdziwienie, że nasze Towarzystwo lekarskie nie zrobiło ani jednego kroku dla zadokumentowania swego istnienia. Ani nie poczyniło żadnych ułatwień dla gości, ani nie witano ich korporacyjnie, ani wreszcie nie interesowano się nimi zupełnie.

Tutejsze stowarzyszenia czeskie „Beseda" wystąpiło z ucztą na przyjęcie lekarzy z Pragi i innych miast czeskich, nasi jednakże doktorzy nie uważali nawet za stosowne służyć objaśnieniami kolegom ze stron dalszych. Zastanawiająca to trochę obojętność, tem bardziej zastanawiająca, że z ust kilku lekarzy tutejszych słyszałem drwiny, z tego, że przybysze nie umieli rozróżnić Polaków od Rosyan. Bądźcie na stanowisku, dajcie znać, że żyjecie, a wtedy wpoicie może inne przeświadczenie, ale ospalstwem i obojętnością nie przekonacie nikogo! Wogóle, jak słyszę nauka nasza nie bądzie licznie reprezentowaną na kongresie moskiewskim, z Warszawy szczupłe tylko grono lekarzy podąża do Moskwy. Zresztą trudno apriori sądzić, jaki będzie plon z naszej strony, wszelako taka obojętność wątpię, ażeby wyszła na dobre.

Przechodzę do wielkiej dolegliwości warszawskiej, jaką tworzy rozwielmożniające się z dniem każdym... nożownictwo.

Wyraz ten niezawodnie jest wam obcym w tem rozumieniu, jakie u nas jest przyjęte, przyszedł zaś on do Warszawy z tego kolosu fabrycznego, który się nazywa Łodzią. W Łodzi więc pojawili się po raz pierwszy „nożownicy", nie ci, którzy wyrabiają brzytwy, scyzoryki i t. p., ale ci, którzy jako jedynej broni, jako jedynego narzędzia przy załatwianiu kłótni używają dobrze wyostrzonego, długiego obosiecznego noża. W mieście fabrycznem, dzięki niedołęstwu policyi grasowali „nożownicy" przez czas długi prawie zupełnie bezkarnie i dopiero obecny policmajster p. Chrzanowski wziął się energicznie do położenia kresu bójkom często kończącym się wypadkami śmierci. Dzięki energii p. Chrzanowskiego Łódź wolną jest od tej plagi, wystąpiła ona natomiast nader groźnie w Warszawie. W ostatnich miesiącach „nożownictwo" przybrało wymiary tak zastraszające, że ostatecznie cała prasa warszawska podniosła wielki alarm. W biały dzień na ulicach nieodległych nawet od centrum miasta zdarzały się wypadki, że przechodnie „Bogu ducha winni" zaczepiani bywali przez indywidua, które nie dla rabunku, ale ot! tak sobie dla sportu wszczynały awanturę po to jedynie, ażeby utopić w ciele nóż świeżący. *Gazeta policyjna* przepełnioną jest notowaniami tych zbrodniczych zamachów, mieszkańcy, zwłaszcza przedmiejscy słali prośby i nareszcie zdaje się, że i Warszawa doczeka się kresu tego bezprawia.

Początek już w tej mierze zrobiono, obławy urządzają się systematycznie, więc może nareszcie zniknie groźne dla przechodniów widmo „nożowników". Byłoby smutnie, gdyby policya warszawska, z taką lubością czepiająca się drobnostek, okazała się za słabą do ukrócenia złego i gdyby pod tym względem nie stanęła wyżej od straży ziemskiej, która pozwala bezkarnie rozbijać i rabować w Kieleckiem.

Wskutek tych rabunków w Kieleckiem przyszło do bardzo oryginalnej polemiki pomiędzy *Głosem* z jednej a *Gazetą Warszawską* i *Słowem* z drugiej strony. *Głos* skorzystał z wypadku w Wodzisławiu, gdzie rabusie wtargnęli nocą do dworu, ażeby oplwać cały stan szlachecki. „Niedołęgi, nie umieją sobie poradzić" — krzyknął ten tygodnik — na co natychmiast otrzymał odprawę ze strony dwóch poważnych organów, które w sposób dobitny pouczyły *Głos*, że ani podług praw obowiązujących nie wolno sobie samemu wymierzać sprawiedliwości, ani też dozwolone jest utrzymywanie broni palnej.

ROZMAITOSCI.

Pielgrzymki do Lourdes. W roku bieżącym przypada 25letnia rocznica objawienia się Najświętszej Panny w Lourdes i pielgrzymek do tego cudownego miejsca. Dla uczczenia tej rocznicy z Paryża wyruszyła tak zwana „pielgrzymka narodowa", złożona z 40.000 przeszło pątników. W dniu 18 bm. wyruszyli oni z dworca Orleans. Pociągi odznaczały się barwami. Naprzód wyprawiono niebieski, potem fioletowy; w obu jechali pielgrzymi zdrowi, obojga płci, dążący do Lourdes dla wzniesienia ducha i podziękowania Matce Najświętszej za świadczone im łaski. Wreszcie wyruszył „pociąg biały", pełen chorych szukających zdrowia w cudownem miejscu. Owych nieszczęśliwych wnosiły do wagonów na rękach całe legiony osób, kóre dobrowolnie oddawały się na usługi biedaków. Pomimo całej troskliwości zewsząd było słychać jęki chorych i kalek, którzy z całą wiarą przedsiębrali tę pielgrzymkę. Przy odjeździe pątnicy zaintonowali chórem „Gwiazdo morza", po drodze na wszystkich stacyach odprawione były modlitwy. Dniem najuroczystszym był 23 bm., dzień cudu w Lourdes. W dniu tym odbyły się procesye przy współudziale kilkunastotysiącznego tłumu.

O wybuchu wulkanu Mayon, na wyspach Filipińskich nadeszły teraz dopiero bliższe wiadomości z Manilli. Wulkan wznosi się w prowincyi Albay i jest jednym z słynniejszych i niebezpieczniejszych na całym świecie. Szczyt jego wznosi się na wysokości 2734 stóp po nad powierzchnią morza, na zachód od Liboy i na półn.-zachód od Albay. Góra ma u stóp swoich 26 kilometrów obwodu. Widać Mayon ze znacznej odległości, służy on okrętom, przypływającym cieśninę San Bernardino, za rodzaj latarni morskiej. Kształt wulkanu jest koniczny. W dniu 30 czerwca nadeszła wieść do Manilii, że wulkan wybucha. W Baracay wiele domów zostało zagrzebanych przez popioły. Mieszkańcy zdołali uciec. W Tobaco skutkiem deszczu popiołów i lawy zaległy takie ciemności, że musiano przez trzy dni i noce palić światło i trzymać okna i drzwi szczelnie zamknięte. Ulice miasta Legazpi i Liboy zostały zupełnie zniszczone, mieszkańcy pouciekali w góry. To samo zdarzyło się w Maleliput. Liboy przedstawia jedno rumowisko, 115 trupów wygrzebano z pod gruzów. Straty materyalne nieoszacowane, krater zaczął wyrzucać lawę w dniu 23 czerwca, najsroższy wybuch przypadł jednak na dnie 24 i 25. W całej prowincyi panuje popłoch, całe bogactwo tego kraju, plantacye kokosowe zniszczone. W Tobaco popiół zasypał mieszkańców w kościele podczas nabożeństwa. Wydobyto 400 ludzi z pod gruzów, w tem 250 trupów. Największe wybuchy Mayonu zdarzyły się w latach: 1616, 1765, 1766, 1800, 1827, 1834, 1843, 1857, 1865, 1870; ostatni był w r. 1881. Odtąd wulkan wciąż dymi. W prowincyi Albay są jeszcze dwa kratery: Isaroy i Bulusan, ale oba już prawie wygasły.

Oryginalny człowiek. W dziennikach warszawskich czytamy: Na szosie petersburskiej, po za Jabłonną, straż zatrzymała mężczyznę, ciągnącego za sobą wózek dwukołowy, napełniony rozmaitemi tobołkami. Mniemany włóczęga wylegitymował się jednak w zupełności. Jest to p. K. C., niegdyś urzędnik kolei terespolskiej, stały mieszkaniec Warszawy. Otrzymawszy przed kilku laty spadek, wynoszący do 20.000 rs., p. C. kapitał złożył w jednym z banków, procenty zaś obraca na ustawiczne podróże piesze po kraju i zagranicy, utrzymując, iż ruch jest mu do życia potrzebny. Oryginalny ten turysta zwiedził tym sposobem Austryę, Węgry, wybrzeże Adryatyku, poznał cały kraj, obecnie zaś ciągnie ku Mławie, zkąd ma zamiar podążyć nad Bałtyk. Oświadczył on, iż w Warszawie bywa raz na rok, podczas zmiany pasportu, i że teraz właśnie załatwiał tę formalność. Piechur posiada z sobą wszystko, co mu służy do wygodnego noclegu w chatach wiejskich, karczmach i wogóle na postojach w miejscowościach, pozbawionych hoteli.

Z Sokoła. Ruch ćwiczebny w lwowskim Sokole rozpoczyna się z dniem 1. września. Ćwiczenia członków odbywać się będą w poniedziałki, środy i piątki od godz. 7. do 8. wieczór. Nauka udzielaną będzie dla uczniów od lat 6 do 10 od godz. 11½ do 12½ w południe, we wtorki, czwartki i soboty; dla uczniów od lat 8 do 14 w te same dnie od godz. 6 do 7 wieczór; zaś dla uczniów starszych w dnie powyższe od godz. 7 do 8 wieczór. Nauka gimnastyki dziewcząt udzielaną będzie w poniedziałki, środy i piątki od godz. 5 do 6 popołudniu, natomiast kurs nauki gimnastyki dla starszych pań otwartym zostanie, jeżeli minimalna liczba 20 się zapisze.

Froeblowski ogródek dziecięcy otwierają z początkiem września b. r. przy ul. Jagiellońskiej l. 4. pani Goldfarb praktykująca nauczycielka przy szkole ewangelickiej we Lwowie i panna Bloch była kierowniczka zakładu froebl. w Stryju.

Zakład ten będzie urządzony na wzór pierwszorzędnych szkółek europejskich. Kierowniczki dołożą wszelkich starań, by dzieciom pobyt w szkółce uprzyjemnić i by dzieci zarazem fizycznie i umysłowo się kształciły.

Wpisy rozpoczynają się 28. bm. od godz. 9—1 przed południem i trwać będą do 5. września.

Wieczornica Tak nazwało „Echo" urządzaną przez się dnia 5 września o godz. 4½ po południu w hali muzycznej na placu powystawowym, produkcyę wokalno dramatyczną. „Echo" przyszło pierwsze na pomysł nowy a szczęśliwy zużytkowania pięknej hali od wystawy prawie zupełnie zapomnianej — mimo że jest to niewątpliwie największa i najlepsza sala koncertowa we Lwowie. Pogodna pora godzin popołudniowych, niskie wstępy i piękny cel wpłyną bez wątpienia na szczelne zapełnienie hali.

Przyjechali do Lwowa.

Dnia 28 sierpnia.

Hotele: Bellevue i Metropol K. Janowicza we Lwowie. R. Kosturkiewicz z Simering, T. Łucki z Mełny, Z. Witosławski Żędowice, dr. Łukasic z Budapesztu, J. Herzog z Rzeszowa, G. Schwarz i W. Staniewski z Wiednia, H. Rzepa z Bielitz, E. Werchnin S. z Petersburga, N. Weisglanz z Rumunii, W. Szymkiewicz z Sambora.

1

WYCHOWANIEC

przez

TRZASKĘ.

„Kiedyż na te popioły i kości",
„Zmartwychwstania anioł z niebios zleci?"
Romanowski.

Dwór gorzał...

Czerwone wstęgi płomieni rozrywały gwałtownie czarną, bezbrzeżną głębię styczniowej nocy; opadając snopami iskier ku ziemi, kładły brudnawe smugi pyłu na bielejących zaspach śnieżnych.

Kłęby dymu wznosiły błagalne ramiona ku niebu, które nieprzejrzanym całunem zawisło nad biedną, opuszczoną ziemią.

Daremnie krwawy słup pnie się coraz wyżej i wyżej; nie przebije niebieskiego sklepienia...

Po jasno oświetlonym podwórcu, przyległym do domostwa, jak mrowie snują się postaci moskiewskich żołdaków; nawołując się nawzajem i klnąc przeraźliwie, gdy zwęglone belki, jedna po drugiej z głuchym trzaskiem i sykiem padają na rozmokłą z gorąca ziemię.

— Szczezła sobacza detyna, czort by ją wziął — mruczą niepewni, czy ofiara płonie na podpalonym stosie, czy też zdołała ujść ich czujnemu węchowi.

Po drugiej stronie dworu, przez którego kamienne mury najtrudniej przeciskają się płomienie, cały pas pogrążony w cieniu. Tam to najstraszniejsza odbywa się orgia.

Cichaczem z piwnic wywleczono beczki ze starem winem. Dziką wesołością kipi tłum bezduszny. Krąży czarka z rąk do rąk, a ręce to splamione zbrodnią dziką, święcącą właśnie swój tryumf. Rozpromieniony tryumfem hula w rozpasaniu zwierz drapieżny o kształtach człowieka.

Z liczbą wychylonych czarek krzyk tłuszczy zamienił się wkrótce w ryk nie do opisania. To przywodzi do przytomności dowódcę; ochrypłym głosem zaczął nawoływać do odwrotu i poszukiwania zarazem, czy ofiara nie umknęła z zasadzki.

Pijana tłuszcza przywykła do posłuszeństwa, rzuciła się jak dziki zwierz na konie; po chwili rozległ się chrzęst, tętent, i cały oddział puścił się w pogoń przy bladem świetle pochodni, migocących jak marne zapałki wobec olbrzymiego ogniska.

Konie zwartym szeregiem szły jak wiatr, w chmurze marznącej pary, buchającej im z nozdrzy, za nimi ciągnął się wydłużony pas gryzącego, smolnego dymu.

— Strzelać w krzaki, na prawo i lewo! brzmiał rozkaz dowódcy, przeklinające go w duszy mróz, pożar i noc czarną dogodną dla uciekających.

W cichy zarosły bór, utulony w puchu śniegowym, wdzierała szarańcza z hukiem i trzaskiem, płosząc zwierzynę, która co chwilę ciemnym cieniem migała na bielejącej drodze, przeciągłem wyciem napełniając powietrze.

W gąszczu leśnym, na uboczu, gdzie nie dochodził ani blask płonącego dworu, ani tętent przeciągającej drużyny, drżała z trwogi, zimna i łkania młoda matka z dzieckiem na ręku; gnana szalonym strachem o swój skarb, który cicho kwilił u jej łona, uciekała kilka wiorst od miejsca zniszczenia, gdzie spędziła tyle słodkich chwil, bez troski o przyszłość.

Tajny, zaufany posłaniec męża, przyniósł jej dziś straszną wiadomość o jego straceniu w cytadeli i zarazem przypuszczenie, że zamierzono podpalić dwór wraz z jego żoną i synem!

Ona sama, oh! byłaby chętniej została na pastwę tej szalejącej dziczy: cóż znaczyło dziś życie dla niej, bez męża? Gdyby tylko jej dziecko mogło być uratowane!

Zdołała zatem umknąć przed napadem, przebrana w strój moskiewski sporządzony na prędce.

Teraz straszna obawa nie opuszczała jej, przeczuwała, że jej szukają, domyślała się zdrady, przekupienia służby, nie czuła się swobodna w tem przebraniu. A zresztą choćby jej nie znaleźli... co dalej?... sama na świecie... bez opieki!

Jakże niedawno temu tuliła się do swego obrońcy, z niemowlęciem u łona. Weseli, ufni w swą szczęśliwą gwiazdę, snuli razem plany i projekta. Widzieli malutkiego Tadzia wielkim mężnym człowiekiem, podporą ich szczęśliwej starości; każdy ruch, uśmiech, nawet skrzywienie jedynaka, przejmowało ich radością.

Ileż to godzin spędzili tak wspólnie u kominka gwarząc i rojąc marzenia o przyszłości!

Aż naraz wszystko przepadło i rozsypało się w gruzy jak domki z kart, które stawiali dla zabawy małego synka.

On poszedł się bić dla świętej sprawy wierząc, że powróci żywy i wolny do swoich.

A teraz cóż po nim pozostało?

Tylko ostatnich słów parę, własną krwią skreślonych w wigilię stracenia, ostatnie pożegnanie dla żony, i ostatnia wola dla syna, spisana na świstku, który oblany gorącemi łzami ukryła wraz z metryką syna w starym medalionie wieszając go na szyi dziecka.

Czy ono to kiedy przeczyta!...

Czy dożyje tej chwili, czy też zginie marnie, jak tyle istot nie mając nawet życzliwej ręki, która by mu zamknęła powieki?...

Płacz silny wstrząsał jej wątłą postacią, a jakieś dziwne ubezwładnienie ogarniało ją całą.

— Boże, któryś jest w niebie, Najświętsza Panienko Częstochowska, modliła się zbielałemi usty, ocal mi dziecko, tylko dziecko!

Słup ognia, który chciał przebić niebiosa, nie dokazał tego, a cicha, żałobna modlitwa, zdawała się otwierać podwoje wiecznego Królestwa, bo wielka błogość spłynęła do duszy biednej wygnanki.

— O, Boże! — szeptała ukojona — może to ocalenie, a może... może to śmierć!

Straszny ten wyraz zelektryzował ją całą; ten mróz okropny, ten gąszcz nieprzejrzany... ah, gdyby tu padła jedna, cóż stanie się z dzieckiem, z jej synem?

Poczęła biedz na nowo na oślep, chwytając się gałęzi i krwawiąc sobie ręce.

Naraz zaczęło się przerzedzać, dostrzegła na tle śniegu jakieś chaty, światełka, już chciała wołać o pomoc, gdy nagle usłyszała przytłumione odgłosy, potem huk, dziwne ciepło i zarazem ból uczuła w piersiach, chwyciła się za koszulę, poznała... krew!

Mroźny, przenikliwy wiatr poruszał gałęźmi drzew, strząsając szron z cichym chrzęstem opadający na ziemię.

Cisnąc z całych sił ranę, stała wstrzymując słabnący oddech, czekała na uwolnione przez pogoń przejście.

Po chwili nadludzką mocą zaczęła iść szybko w stronę tych chat, które widziała, szła z wzrokiem wytężonym w przestrzeń, jakby się tam spodziewała ratunku.

Ciepła struga krwi wydobywała się z pod palców i ciekła po białym śniegu, znacząc drogę, którą szło poświęcenie i prawdziwa miłość uosobiona w kobiecie — matce!

Jak długo trwała ta droga, nie czuła, nie wiedziała, ani ona, ani las, milczący świadek jej pielgrzymki.

Nosiły ją skrzydła nadziei.

Dopiero, gdy przed na wpół przymkniętemi, zmęczeniem i niemocą powiekami zaczął szarzeć mur jakiegoś domu czy ogrodu, siły opuściły zupełnie zesłabłe z ubytku krwi i bezwładne już ciało.

Nie chcąc upaść uklękła na kolana i tak dowlekła się do domu; ostatnim wysiłkiem okryła jeszcze spodnicą, skrzepłą krwią przesiąkniętą, biedne, małe, drżące od zimna ciałko dziecka... i z imieniem Maryi na zsiniałych ustach padła na białą, zamarzłą skorupę śniegu.

Czarna noc zakryła straszny dramat ludzkiej jedności.

A tam w borze, daleko, szalonym pędem przebiegała konnica strzelając na prawo i na lewo.

Po skwarnym dniu letnim słońce zachodziło krwawo; całe niebo rozgorzało w czerwonych blaskach wspaniałej ognistej kuli. Spokojnie płynęła po falach lekkich jak podmuch obłoczków, barwiąc je na złocisto i purpurowo i ukrywając coraz bardziej swą twarz rozrumienioną za fantastyczną zasłoną brzóz rozrzuconych rzadko nad brzegiem rzeki (C. d. n.)